

leg. 118.

CZYTANIA ŻOŁNIERSKIE. — № 4. (b).

MARJA, RODZIEWICZÓWNA

KAMIENIE

KOBOS TADEUSZ



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 244



WARSZAWA — 1920
GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA

Wydane z polecenia Sekcji Oświaty i Kultury
Oddz. III Szt. M. S. Wojsk. — 19 X. 1920.
Specjalne pozwolenie na przedruk uzyskano.

Zakłady Graficzno-Wydawnicze „Książka”.
Warszawa, Tamka 46. Telefon № 33-20.

Nie było na świecie kamienistszej drogi, niż ta, która wiodła z Woli do Wólki. Czart chyba tyle kamieni nasypał na utrapienie ludzkie. A nie tylko droga wśród pól, lecz i pole i łąka i wiejskie ogrody i pastwisko najeżone było kamieniami. Były drobne i duże, gładkie i ostre, były takie, co łamią lemieszce, i takie, co szczyrbia kosy, i takie, co kaleczą bosc stopy, i takie, którymi się w kłótni kamieniuje słabszego, a wszystkie były przeklęte po tysiąc razy.

Przeklęte były za jałowość ziemi, w którą rzucone ziarno obumierało pod ich ciężarem, przeklęte za poniszczone przez nie koła i narzędzia, za pokrwawione na nich stopy i okulawione bydłeta; mieszkaniem każdy Woli i Wólki, gdy mówić zaczynał, już umiał kląć kamienie i klął je, aż do śmierci. Klął, narzekał, cierpiał, ale ich nie uprzętał. Ktoby tej klęsce poradził? Gdzie je podziąć?

Nie miał na to nikt ani czasu, ani ochoty, ani

sposobu — nad siły to było gromady. Gdyby za nie płacono, toby się kto połakomił na zyski, gdyby za to kto nagrodę obiecał, toby inny może na to się ułasił — ale wszyscy tylko narzekali, kleli i cierpieli, i tak trwało. Pole i łąka coraz mniej rodziły; podróżni omijali Wolę i Wólkę; naród ubożał, drobniał, smętniał — i tak trwało.

Aż się trafił z Wólczan jeden — inny. Jan się zwał, a Sokół po ojcach. Silny się udał — na głód i nędzę cierpliwości nie miał, wyrostkiem od tych kamienistych pól uciekł kędyś w świat, i lat dziesiątek wieści o nim nie było. Gdy wrócił, to znalazł te same kamienie, te same markotne, nędzne twarze, tylko nie zastał w chacie ojca, ni dobytku, ni sprzętu, Ojciec umarł, a co po nim zostało, rozgrabili swojacy, krewni i przyjaciele — jako zwyczaj jest. Mógł Jan po sądach chodzić, prawa i sprawiedliwości szukać, swoje odebrać; byli winni nawet w strachu, ale gdy słowa nie rzekł, porażnieli i nawet po pewnym czasie poszeptywali z sobą, że albo ich się boi, albo głupi jest. I tak się zostało.

A Jan ze świata przyniósł z sobą trochę grosza i jakąś nie tutejszą ochotę i siłę. I zaraz

jął się do tych kamieni. Uprzątnął je z podwórza i z gumna i uczynił z nich sobie chatę; uprzątnął je z sadu i uczynił z nich płot wkoło swej osady. Uprzątał je z pola i z łąki, siał, zbierał, kosił i bogacił się.

Ludzie go znienawidzili z zawiści i ze wstydu. Nazwali chciwcem i skąpcem, posądzali o czary. On też z tej ciągłej zabiegliwości i pracy stał się milczący i zatroskany, pogardzał próżniakiem i ubogim, nieużyty był, sobą tylko, swą pracą i dobrem zajęty.

Zdało się, jakby z tej masy kamieni, które ściągnął, część mu duszę przywaliała i gniotła. Taką dostał szarą i twardą twarz, takie zimne oczy, takie milczące, zaciśnięte usta. Nikt jemu i on nikomu nie dał nigdy dobrego słowa. I tak trwało.

Jednej późnej, błotnej i zimnej jesieni wracał Jan z jarmarku do domu. Jechał powoli, bo w rozmięklej ziemi wyszczerzyły się wszystkie drożne kamienie i trzęsły wozem okrutnie. I Jan, choć trzos miał pełen na sobie, klął w duchu i tę ziemię i tych ludzi—a wszystko za owe kamienie.

Aż oto, gdy mijają figurę u rozstaju, wstała z głazu, który tam leżał, kobieta i zawołała na niego:

— Gospodarzu dobry, podwieźcie mnie krzyneł
Chciał minąć obojętnie, ale spojrzął na nią i tak
mu się jakoś litościwie zrobiło w duszy, że stanął.
Kobieta lekko skoczyła na wasąg i ruszyli.

Konie parsknęły wesoło, zastrzygły uszami,
a wreszcie zarżał prawy kasztanek, jakby na ochotę,
choć błota miał w kolana, a wyboje bezdenne.

Jan się obejrzał na kobietę; uczuł chęć do
rozmowy.

— Z daleka wy? Nie tutejsza?

— Z dalekiej dali idę. Miejsca sobie szukam.

— Toście w złą stronę zaszli. Tu wam chleba
nikt nie da, bo sami nie mają. Ot nahodowali
kamieni; nic tu więcej niema u tych hultajów.

— Niebożęta biedne! Twardy mają żywot—
odparła litościwie kobieta.—Przecie i kamienie mi-
łować można.

— A toć miłują, miłują, chowają i szanują.
Żadnego nie uprzątą.—Zaśmiał się gorzko Jan.—
Chyba ukamienować brata, to ruszą kamień
z miejsca.

— Wam to Bóg szczęścił!

— Pewno że i Bóg, alem się na Opatrzność
nie oglądał, tylkom ręce zakasał i robił. Ho, hol

żeby wszyscy tak robili toby mieli, ale oni wolą kamienie gryść a próżnować, a ze mnie drwić, albo mi dokuczać. Takci i mają, gałgany, jako są warci.

— Trza wam było ich uczyć, namawiac, pomagac.

— Acha, pewnie, a za co? Że mi ojcowiznę rozgrabili i pokradli! Jako warci takci mają.

— Sprawiedliwie. Jak kto dla siebie robi, to wedle tego i ma — westchnęła kobieta.

Milczeli chwilę, aż Jana snadź myśl jakaś trapi i rzecze:

— Tak mi się coś zdaje, jakbym ja was już widział niegdyś i głos mi się zda podobny.

— Dobrą pamięć macie. Lat dziesiątek temu, tośmy się spotkali na tejże drodze, jakeście z obczyzny do domu wracali. Szliśmy wpodłe aż do wsi i gadali z sobą. Chcieliście mnie ugościć w chacie, ale zaraz u karczmy ludzie wam powiedzieli, że ojciec umarł, dobytek zmarniał, więcście mnie nie prosili więcej i rozstaliśmy się. Dobrą pamięć macie.

— A wyście też jednaka — jakby to wczoraj było.

— Acha, ja zawsze jednaka! — powtórzyła wesoło kobieta.

Wóz skręcił w zagrodę dostatnią, w bramę zamczystą, w podwórze gładko wybrukowane i stanął przed murowaną chatą. Czeladź wybiegła konie wyprzęgać. Weszli do izby. Jan zaraz parobka za jakąś opieszałość zestrofował, dziewczkę do roboty napędził i żony jął rozpytywać o zajęcieienne, o pracę, o dochody, o bydło.

Żona zapracowana, zmęczona, a niespokojna, czy rad będzie sprawom domowym, czy nie mało zrobione, odpowiadała zalekła, służba milczała, dzieci patrzyły mu w oczy pokornie a trwoźnie.

Kobieta podróżna u progu na ławie pokornie usiadła i rozglądała się po izbie i ludziach.

Nikt nie śmiał spytać, ktoby była, czego chce, boć ją gospodarz przywiózł. Patrzali tylko na nią ciekawie. Oczy miała modre i słodkie a wesołe, i twarz jako jakie kwiecie cudne, i szła od niej jakaś lubość i rozradowanie, jako od rozkwitłej na wiosnę czeremszyny. Dzieci wlepiły w nią oczy, a ona na nie skinęła i jako słowo rzec, tak już przy niej były, i na kolana się wgramoliły, i do piersi przypadły śmiejąc się i świergocąc. A za

dziećmi i matka podeszła i poczęły z sobą coś szeptać. Dziewka, która przędła, opuściła wrzeciono i słuchała owych głosów i śmiała się, a parobek, który wszedł właśnie, konia oprzątnąwszy, dorzucił dREW w komin i rzekł:

— Ogrzejdzie się. Narąbię dla was cały sążen!

Jan na nic nie zważał. Wysypał na stół pięniądze z trzosa i rachował.

A w tem drzwi skrzypnęły i wszedł sąsiad. Popatrzał na białe srebro i westchnął, a pozdrowiwszy, zagaił:

— Wiecie, Janie, podatki zbierają.

— Wiem, co mi za kłopot! Na swoje mam.

— Wiadomo, i więcej macie. Pożyczcie mi, a to ostatnią krowę zabiorą.

— A tyś mi pomagał kamienie zbierać?

— Na swoim zbieraliście!

— I dla siebie. Było tobie także na swoim zbierać.

— Sprawiedliwie mówicie. Dał wam Bóg większy rozum i siłę, poratujcie głupszego i słabszego. Dobrem sercem wam odplacę.

— A mnie poco twoje serce? Kamienie od was miałem i kamień każdemu z was dam!

— Gospodarzu, dajcie mu poratowanie! —
odzywa się podróżna kobieta.

Obejrzał się na nią proszący i zapłakał.

A Jan, jakby nie słyszał, odrzeczł:

— Co mam, dla mnie jest, nie dla hultajów
i próżniaków. Idź precz i giń, boś tego wart.
Onegdaj ukradłeś mi siano z łąki. Jeszcze cię
za to w kryminale osadzę!

Sąsiad już więcej nie śmiał mówić.

A podróżna rzecze:

— Ubogi jest, darujcie, rozumu niema,
w biedzie jest, nie dajcie mu zginąć. Miłościwy
bądź, bogaczu mądry!

Jan srebro zgarnął i w tym szeleście nie
dosłyszał, co mówiła, a sąsiad przekleństwo za-
mruczał i wyszedł. Ale wnet za nim wsunęła się
stara kobieta.

— A czego znowu? — Jan ostro zagadnął.

— Sąsiadką przysługę mi uczynicie. Zanie-
mogła mi córka, w gorączce majaczy. Pożyczcie
waszych koni po doktora pojechać.

— A gdzie wasze konie?

— Toć wiecie, że w lato klacz nogę złama-
ła i dobili. Nie mamy żadnego.

— A skądże ja mam? Czemu moje nóg nie kręca po kamieniach? Toć wasze pole z mojem o międzę, i tyleż macie ziemi! Wy mi wydziwiali, jakem zbierał i uprzątał głązy, nie pomogli, nie skorzystali, jeszcze mi ze swego pola na złość podrzucali. To teraz do mnie o ratunek nie chodźcie. Co mam, dla siebie mam.

— Janie! Miejcie-że Boga w sercu! Dziecko mi chore! Wasze konie, jak lwy, co im to znaczy ta trocha drogi!

— Wy ich nie karmili. Ja karmił i dla mnie robić będą! Idźcie mi z oczu!

— Gospodarzu, pomnijcie na wasze dzieci! Poratujcie! — rzecze wędrowna kobieta.

— Ale Jan srebro do skrzyni chował i jakby nie słyszał, a sąsiadka płacząc wyszła.

— Wieczereż staw! — zawołał Jan na żonę. Poskoczyła do garnków, rozszedł się zapach dobrego jadła, zabręczały misy i łyżki.

A w tem w progu stanął chłop blady, z próżnym workiem pod pachą, rozejrzał się, przełknął ślinę, i podrapawszy się w głowę, rzecze:

— Przyszedłem do was pożyczyć pół korca żyta.

— Pożyczyć, zaśmiał się Jani — A z czegoż oddacie? Toć jeszcze nie zima i już swoje zjedliście!

— A zjedli. Siedem gąb w chacie. Nie urodził! Da Bóg lepiej na przyszły rok, to oddam. Tymczasem jeść trzeba — odparł chłop i stęknął. Wy do zbycia macie, to wam nie bieda, jak mniej sprzedacie.

— Pewnie, ale co zjem, to moje, co sprzedam, to też moje. Twoje u ciebie, nie u mnie. Idź pożycz u tych, którzy rozgrabili moją ojcowinę. Lekko im przyszło, pewnie zabogacieli.

— Dobrze wam drwić. Wiecie, że oprócz was, nikt nie ma. Do kogóż pójde? Co jeść dam, jak wy nie poratujecie? U mnie w chacie już trzy dni nie jedli.

— A u mnie jedzą trzy razy dziennie to, com temi oto rękoma z tych kamieni, co wy hodujecie, krwawą pracą wydarł. Było tak samo robić, tobyście mieli, a nie chcieliście, woleliście spać i na mnie psy wieszać, to teraz żryjcie kamienie i idźcie do diabła, który je wam nasypał.

— A pewnie, pójdziemy do diabła. Głód do nieba nie zaprowadził—burknął chłop.

— Do wleczery! — zawołał Jan, spojrzawszy na kobietę w kącie i wnet oczy umknął.

A ona wstała, pocałowała dzieci, skinęła głową wszystkim i rzecze:

— Żegnajcie, nie będę z wami wieczerzała, ni u was gościła. Nie mogę zostać. Mój brat tu przyjdzie do was.

— Zostańcie! — raptem zawołali wszyscy. A ona nasunęła płachtę na oczy modre i łez pełne i rzekła:

— Nie mogę! Radabym! Żegnajcie, gospodarzu! Ja do was przyjdę jeszcze raz, kiedyś. Teraz wam mego brata trzeba, ale ja potem do was przyjdę, przyjdę! Żegnajcie, żegnajcie!

I przewinęła się wśród nich i przepadła w czarnej sieni.

A w izbie, jakby pomrocząło, poziębło i zrobiła się cichość i tylko dzieci uderzyły w długi, żałośny płacz.

Ale wprędce, wśród pracy i zabiegów zapomnieli o gościu i nikt go więcej we wsi nie widział.

Nastąpiła zima i znowu raz, gdy Jan z miasteczka z dalegu wracał, przyplątał się do niego

pies siwy i aż do chaty za wozem przybiegł i na podwórzu został.

Nikt go zrazu nie zauważył, bo w chacie było co niemiara niepokoju i trwogi o dzieci, które tegoż dnia pochorowały się na szkarlatynę. Zaznały wtedy drogi spaste Janowe konie, poszło ze skrzyni sporo grosza, ale na darmo, bo jednego wieczoru oboje dzieci pomarło. W izbie zawodziła matka, ponuro siedział milczący Jan, a za oknem pies przybłęda wył i skowyczał.

Wywieźli na cmentarz dzieci; do zarażonej chaty nikt nie wstępował; gospodarze jakby poniemieli; czeladź uciekła, bojąc się choroby. Wśród głuchej zimowej nocy—czasem pies przybłęda zaskomlał żałośnie. Jan go przepędzał, kamieniami w niego ciskał, nikt go nie karmił,—zimował na dworze, ale z osady nie było sposobu go się pozbyć. Podrzucał mu wreszcie Jan trutkę na pętlę, chciał pojąć; pies trutki nie brał, pętli uchodził, ale wracał i nocami skowytał.

W zapusty wyprowadzono Janowi ze stajni konie, wśród nocy. Gdy się rankiem obejrzał, popędził za śladem, poprzysięgając, że chyba padnie, a złodziejów odszuka. Gonił ich mil kilkana-

ście, wreszcie dopędził w boru. Jednego konia ze złości zastrzelili, drugiego przecie odebrał i napół żywy z męki wracał do domu. Czuł, że go niemoc dusi, że odchoruje, więc, resztą sił, do domu, do pościeli dążył.

O miłą był, gdy mu przejeżdżający znajomy rzucił, mijając:

— Nie macie do czego wracać! Ogień wymiółł, co żyło i było.

Już Jan nie jechał i nie kierował, już go koń zaprowadził do owego — niczego.

Z osady zostało, czego ogień nie ima — ino kamienie.

A na zgliszczach pies siwy siedział i wył i zawodził.

Takci też do jego wtóru zawył Jan i padł objęty rozpaczą i żalem i śmiertelną chorobą, i więcej nic nie pamiętał, ni czuł.

Objęły go ognie i paliły, aż zgorzał do cna, do głębokości duszy: smagały go bicze bólu, aż wysmagały wszystką krew, i gdy z owego ognia wyszedł, to był z niego ino popiół, ino zgorzel czarna.

A na świecie właśnie uczyniła się wiosna.

Przyleciał bocian do gniazda na Janowe gumno; krążył, krążył i odleciał; przyleciały ja-skółki pod strzechę chaty: szukały, świergotały i odleciały; zachodzili sąsiedzi, mówili do Jana, ale że im nie odpowiadał, odchodzili, ramionami ruszając.

I wreszcie tylko z nim na tych zgliszczach pies przybłąda został, naprzeciw niego leżał i patrzył. Jan już nie miał siły, ni woli, by go odegnać i nie miał mocy od jego oczu swych oczu oderwać, i tak byli jakby skute z sobą niewolniki.

Aż raz coś stanęło między nimi, a Jan oczy zmrużył, coś mu zadrżało pod żebrami, załaskotało w gardle i zapłakał. Owa kobieta wędrowna do niego szła przez pogorzel i kamienie, i objęła go za głowę litościwie, i utuliła do piersi, a on z wnętrza duszy szlochać począł. Na zgorzel duszy szły łzy, jako deszcze majowe, na popieli-sko jałowe, by wskrzesić trawy i kwiaty.

A wreszcie z jękiem do niej mówi:

— Uczyń co, by ten pies tak nie był.

— Pójdź stąd, od wszystkiego, co twoje by-

ło i przeszło, od tego, coś dla siebie zdobył i coś stracił. Pójdź.

I uprowadziła go, okrywszy mu oczy połą swej płachty, a on ufny — szedł.

Za wsią daleko rozdół pusty i jałowy był, cierniem porosły, piołunami i bylicą. Tam spoczęli we dwoje i on odetchnął, bo zgliszcz osady stąd widać nie było, ni wycia psa słyhać. I zmężony usnął.

A gdy się obudził, mocniejszy się poczuł i w sobie cichszy. Wokoło też wielka cichość pól była i miał się świat. Poszukał oczyma owej kobiety pocieszycielki i ujrzał ją, jak wśród niw szła i schylała się i coś zbierała w połą płachty. A ilekroć zbliżyła się do niego, to spoglądała li- tośnie i słodko, i znowu z uśmiechem chyliła się do ziemi. Nie miał sił, by do niej iść, i z dzi- wem patrzył, że zbierała kamienie. A gdy płachtę miała pełną, rzuciła ciężar w ów rozdół jałowy i znowu szła, chyliła się i brała kamień po ka- mieniu, każdy: i taki, co kruszy lemieszce, i taki, co tępi kosy, i taki, co kaleczy bosc stopy, i ta- ki, który się w gniewie na buźniego ciska, wszyst- kie zbierała, uprzętała.

A gdy znowu była blisko Jana, spytał:

— Co czynisz?

A ona z uśmiechem odpowiada:

— Chcę z ziemi tej zebrać wszystkie kamienie.

— Jak to? Po co?

— Aby setne plony dały niwy, aby nie krwa-
wiły się stopy, aby nie niszczał dobytek i narzę-
dzie i aby nie klątwy i narzekanie, jeno śpiew
i śmiech od pól tych ku niebu szły!

I wyciągnęła szeroko ramiona, jakby niemi
cały świat objąć i ogarnąć chciała i cała w jasno-
ści, w rozradowaniu, w szczęśliwości patrzyła
w niebo.

A potem na Jana patrzy i mówi:

— Pamiętasz? takeś i ty chciał czynić, gdyś
ze świata do dom wracał, gdyśmy to z sobą szli
wpodłe.

— Chciałem, z duszy chciałem, ale mi lu-
dzie krzywdziciele, szyderce, wrogi, nie dali! I ty
też ustaniesz, jako ja.

— Nie ustane, bo ni dla siebie czynię, ni
dla kogo. Nie ustane ja, nie ustane!

I znowu śmieje się i schyla i zbiera, a Im-
cieńsza płachta, tem się radośniej uśmiecha.

A Jan oczyma za nią idzie i myśli i rozwa-
ża. A cicho jest bardzo i czasem dolatuje go od
czarnej plamy zgliszcz żałośne wycie i wtedy
szarpie go ból, krwawi się w nim pamięć.

— Uczyń, bym go nie słyszał, tego wycia—
prosi.

— Nie słuchaj! Pójdź za mną, czyń za mną.
Będiesz wtedy słyszał, jak ziemia gra, jak niebo
śpiewał! Pójdź za mną.

— Niemocnym jest. Nie udźwignę!

— Spróbuj. Ze mną udźwigniesz i głązy
węgielne!

Podniosła, go podparła ramieniem, popro-
wadziła; zaczął jej podawać do płachty kamienie,
zmocnił się, wyprostował, rozprężył ramiona.

Wtedy oddarła połowę swej płachty i opa-
sała go nią, jako siewacze się opasują, gdy ziar-
no ziemi dać mają, i poszedł za nią.

A po znojnym dniu spoczęli na skraju owe-
go rozdołu, od ludzi i gwaru dalecy, i on poło-
żył głowę na jej kolanach i słuchał, co ona mu
mówiła.

Uczyła go słuchać, jako cisza mówi, jako ziemia gra, jako niebo śpiewa i słyszał.

I mówiła mu jako tu będzie, gdy nie stanie kamieni, i poczynął się tem cieszyć, i poczynął zapominać, czyje to pole i komu je zbiera, jeno radować się, że ich tych kamieni nie będzie.

A wśród tych rozmów usnął i nie słyszał wycia psa przybłądy, ani wspomniął swej osady.

I oto rozeszła się po Woli i Wólce gadka, że Jan bogacz z nieszczęścia rozum stracił.

Osadę opuścił, wszystko swoje rzucił, i oto jako obłąkany po polach chodzi, kamienie w płachtę zbiera i do wąwozu nosi. Ludzie patrzali na niego zrazu ze zgrozą i trwogą i myśleli, że co złego zamyśla i pojмали go raz i zaprowadzili do gminy.

Ale Jan, gdy go pytano: Co robi? i poco?— odpowiedział:

— Kamienie zbieram, by ich nie było. Nic więcej już robić nie będę.

Urząd go badał, doktor go badał, wreszcie puścili.

Naród się z nim oswoił, uspokojony, że nieszkodliwe ma szaleństwo; wprędce też zaczęli go

prześmiewać, przedrzeźniać — wiadomo: jako obłąkanego, który obronić się nie chce, czy nie umie, a może i nie rozumie wyśmiewań. Działwa za nim biegła, jak za cudakiem; ludzie go nazywali „głupim“, mało kto podał mu chleba kawałek i dobre słowo.

Ale Jan jakby jednakowo głuchy był na urągawisko, jak i na dobre słowo i posiłek. W ścianie wąwozu uczynił sobie schronisko, jak zwierz borowy, z nikim nie rozmawiał, o nic nie prosił.

On tylko zbierał kamienie. Schylał się, schylał, dźwigał, nosił i zapatrzony w dal przed siebie, do kogoś się uśmiechał, z kimś bez dźwięku mówił, kogoś słuchał.

I tak czynił dni, miesiące, lata—całe życie. W Woli i w Wólce ubywało kamieni. Zauważyli to przejezdni i pytali coby było.

— „Głupi“ zbiera! — ze śmiechem odpowiadali miejscowi.

I ubywało z pola kamieni.

I sąsiad mówił do sąsiada ze śmiechem:

— Patrzaj-no „głupi“ teraz dla ciebie robi.

A wreszcie i do Jana zagadywali:

— „Głupi Janie“, toć zbierasz na polu owego, który ci ojcowiznę zagabił.

Ale Jan na mówiącego patrzył jasnymi oczyma i odpowiadał bez związku:

— Z nią zbieram. Wszystkie zbiorę, by i głazy węgielne.

I zbierał. Aż wreszcie ludzi jakiś dziw ogarzał i jakiś wstyd, i przestali się z niego śmiać.

I często, patrząc na niego, niejeden stanął, i zadumał się, i schylił się i pomógł mu kamień podnieść.

A kamieni ubywało i ubywało. Wieść się coraz szerzej rozchodziła, wreszcie ktoś możny zjechał, by się przekonać, co się tam stało.

Ale to było po wielu, wielu latach. I zdumiał ów możny — w Woli i w Wólce nie było już kamieni.

Nie było i takich, co szczyrbią kosy i lemiesz, ni takich, co kaleczą bosa stopy, ni takich, które się w złości na bliźniego ciska.

A naród wesoły i zdrów, i dostatni, zawiódł owego możnego do rozdołu, a rozdół był pełen kamieni.

A na skraju, na progu schroniska, bo to

wieczór był, siedział „głupi Jan“ latami stary, a prosty, krzepki, z jasnymi oczyma i pogodną twarzą.

— Tyś zebrał te wszystkie kamienie?— pyta z podziwem możny.

— Z nią wespół!

— Z kim z nią?

— A ot z nią! — i pokazuje koło siebie.

— Toć tam nikogo niema.

— Dla was niema, i ze mną niegdyś nie była. Pizeto kamienie były, a teraz ich niema.

— Głupi jest, — tłumaczą ludzie szeptem — ale dobrze czwił.

— Możebyś czego pragnął za to, coś uczynił? — pyta możny Jana.

— Co bym i wymarzył i wyśnił, to wszystko u niej jest i wszystko mi daje.

— Jakaż ona jest? Opowiedz przecie!

Nie widzisz to jej?... biednyś ty nieboże!... to i nie zrozumiesz, co ci opowiem o niej. Biednyś ty, biedny!

I litościwie nad tym możnym pokiwał głową „głupi Jan“, który za cały majątek miał zebrane z dróg i pól ludzkich ostre kamienie.

